

Dzień 1

Leżał z opuszczonymi powiekami i wsłuchiwał się w dźwięki, dochodzące zza otwartego okna. Wrocławskie zoo budziło się do życia. Każdego ranka ta sama fala rozchodziła się po ogrodzie. Koncert zaczynały australijskie strusie, do nich dołączały wrzeszczące gibony, wtórujące im szympanse, zza małpiarni od strony sztucznego jeziora dochodził skrzek flamingów, kwakanie kaczek, jeszcze szczekanie i chrumkanie. Pół kilometra kwadratowego ogrodu wtulonego w ramiona Odry, udawało tropikalną dżunglę.

Dyrektor żartował, że Dudek powinien otwierać listę zwierząt wrocławskiego zoo. Wprawdzie pod czapką z daszkiem nie ukrywał kolorowego pióropusza, ale za to spełniał wszystkie kryteria programu ochrony gatunków zagrożonych wyginięciem. Takich jak on, zdolnych zaoferować milionową darowiznę, niewiele już pozostało. Słusznie założył, że filantrop może mu dać dużo więcej niż pieniądze. Dyrektor zaproponował wspólne powołanie Fundacji, a on przystał na ten pomysł. Po kilku latach wrocławskie zoo słynęło już z hodowli zachowawczej i projektów ochrony gatunków, a Michał Dudziński praktycznie nie opuszczał ogrodu, sypiając w dziupli, jak zwykł określać swój dwudziestometrowy pokój na zapleczu biura Fundacji. Wśród dzikich zwierząt Dudek czuł się dużo lepiej niż wśród ludzi.

Otworzył oczy i odrzucił kołdrę. Nagie szczupłe ciało natychmiast pokryła gęsia skórka. Wstał z kanapy, splótł dłonie nad głową i przeciągnął się. Jego kwadratowy pokój przypominał wystawę w IKEI. Kanapa pod oknem, którą z łatwością złożył, ukrywając w niej pościel, do tego okrągły stolik, dwa fotele, zabudowana trzyskrzydłowa szafa, z wielkim lustrem, długa komoda z szufladami, nad którą wisiał rzadko włączany telewizor. Całości

dopełniał okrągły beżowy dywan umieszczony pośrodku pokoju pod wiszącą lampą z energooszczędnymi żarówkami. Dominowała biel i beżowe akcenty. Kuchni nie potrzebował, korzystał z firmowej stołówki.

Przejechał dłonią po łysej czaszce i twarzy, wyczuwając ostry zarost pod palcami. Golenie musiało poczekać, aż wróci z porannego treningu. Wciągnął na siebie czarny elastyczny dres nike, buty do biegania, a na głowę założył czapkę z daszkiem, nad którym wyhaftowano ptaka dodo z imponującym dziobem, logo Fundacji. Wąskim korytarzykiem, w którym znajdowały się drzwi do łazienki, przeszedł do pustego biura. Zegar, który równie dobrze mógłby służyć pasażerom dworca głównego we Wrocławiu, wskazywał kwadrans po szóstej. Uśmiechnął się, bo nie spodziewał się innej godziny.

Zoo widziane z lotu ptaka przypominało chłopięcy dywanik z uliczkami. Żaden obserwator nie doszukałby się regularności, czy nawet fragmentu wzoru. Jedyne kąty proste tworzyła Odra ze Starą Odrą, do których przylegał prostokąt ogrodu.

Dudek wziął głęboki oddech. Powietrze pachniało świeżym sianem, które opiekun koni wiozł w kierunku zagrody. Dudek pozdrowił go uniesieniem czapki, poprawił jej ułożenie i ruszył truchtem wzdłuż budynku Afrykarium.

Wszędzie krzątali się pracownicy, którzy przed otwarciem ogrodu musieli nakarmić i napoić zwierzęta, uprzątnąć wybiegi i sprawdzić stan zabezpieczeń. Dyrektor kładł na bezpieczeństwo szczególny nacisk, wiedział bowiem, że nieszczęśliwy wypadek potrafił zrujnować opinię najlepszego zoo.

Z zagrody dla zwierząt Ameryki Południowej wypatrywała go kapibara Zośka, ozdobiona trzema wróblami, które przysiadły na jej grzbiecie. Jak zwykle zatrzymał się, wyjął z kieszeni przygotowane jabłko i ułożył na otwartej dłoni. Zawiedzione wróble

odleciały na pobliskie drzewo, a Zośka podeszła z ufnością i wzięła do pyska smakowity owoc

— Smacznego — powiedział i pogłaskał po szczecinie.

Przy pelikanach przyspieszył i zatoczył pętlę wokół terenu zwierząt, pochodzących z Europy. Zazwyczaj robił jedno okrążenie wokół ogrodu, co w zależności od pory roku zajmowało mu od 30 do 45 minut. Długo używał słuchawek, zagłuszając nieprzyjemne odgłosy zwierząt. Z czasem zauważył, że zaczęły go tolerować, więc któregoś dnia po prostu przestał słuchać muzyki. Wtedy pierwszy raz poczuł wspólnotę ze zwierzętami.

Kiedy minął terytorium panter i zbliżał się do wybiegu dla tygrysów, usłyszał regularny stukot, jaki powoduje przeciągnięcie prętem po stalowych kratkach. Przyspieszył. Po kilkunastu sekundach ujrzał pracownika, który krzyczał na tygrysy i walił prętem o kraty. Zajęty straszaniem zwierząt, nie zauważył Dudka, który w mgnieniu oka dopadł do niego, chwycił go za barki i silnym ruchem odciągnął od klatki, przewracając na ziemię.

— Oszalałeś?! — wydarł się, odbierając mu z dłoni stalowe dłuto.

— Co pan robi? — Wzburzył się pracownik. — A jak mam te bestie zagonić do klatki, żeby posprzątać wybieg?

Dopiero teraz dotarło do Dudzińskiego, że pierwszy raz widzi chłopaka.

— Stefan cię nie przeszkolił? — zapytał wyciągając pomocną dłoń.

Kiedy młody wstał i otrzepał ziemię z ubrania.

— Nie jestem sadystą — burknął i zaraz dodał ze skruchą. — Zależy mi na tej pracy.

— To nigdy więcej tego nie rób. — Zrobiło mu się żal chłopaka. — Wiesz co?

Przeżegnaj swojemu szefowi, że Dudziński odesłał cię na dzieciniec zwierzęcy. Z kozami chyba sobie poradzisz?

— Pewnie! — Ucieszył się młodzieniec, ale po chwili mina mu zrzedła i wskazał na dłuto.

— Nikomu nie powiem — uspokoił go Dudek i zwrócił narzędzie. — A teraz dajmy szansę uspokoić się tygrysom. Idź już — odprawił go.

Stracił ochotę na bieganie, więc marszem ruszył do dziupli. Gdy zbliżał się do biura, usłyszał męski głos.

— Panie Michale!

Zatrzymał się obrócił w kierunku mężczyzny, który dziarskim krokiem zmierzał w jego kierunku. Dyrektor przypominał Wańkę-wstańkę, kolebiącą się rosyjską figurkę, która zawsze wraca do pionu. Wąskie barki, zapadniętą klatka piersiowa i opona z tłuszczu sprawiały, że brązowa marynarka zwisała z ramion i nie dopinała się na brzuchu, nie mówiąc już o koszuli w kolorze khaki, która w akcie desperacji próbowała uwolnić się ze spodni.

— Jeżeli to nic pilnego, to przyjdę do pana po śniadaniu.

— Kochanieńki, króciuteńko, dobra nowinka — wydyszał dyrektor.

Zdjął brązowy kapelusz à la Indiana Jones, który jego zdaniem powinienem nosić każdy szanujący się dyrektor zoo, i odrzucił do tyłu długie siwe włosy.

— Będzie tygrys — oświadczył z dumą.

— Mamy tygrysy — Dudek wskazał kciukiem za siebie. — Właśnie od nich wracam.

— Sumatrzeński. No z Sumatry taki, kochanieńki. Cały świat będzie nam zazdrościł.

— Przecież to niemożliwe. — Dudek sięgnął pamięcią do rejestrów Fundacji. — Przecież na świecie żyje ich jest zaledwie 400.

— Zgadza się panie Michałku i jeden z nich będzie w naszym ogrodzie. — Dyrektor wyszczerzył w uśmiechu żółte nierówne zęby.

„Jasne, że z Sumatry” — pomyślał Dudziński i wrócił do rutynowych zajęć. Potrafił jeszcze oddzielić marzenia od mrzonek.

Dzień 3

Nadchodził termin złożenia w sądzie sprawozdania finansowego z działalności Fundacji, więc całe przedpołudnie przygotowywał niezbędne dokumenty. Niestety zamiast skupić na nich uwagę, myślami wracał do sprawy tygrysa. Sumatra źle mu się kojarzyła. Fundacja nie raz otrzymywała ostrzeżenia z TRAFFIC, organizacji monitorującej nielegalny handel zwierzętami, przed ofertami z Indonezji, którzy coraz odważniej sięgali po kawałki tortu, wartego dziesiątki miliardów dolarów. W końcu Dudziński skarcił się w myślach, że bierze na serio słowa dyrektora i wrócił do przeglądania papierów.

Punktualnie o godzinie czternastej, ubrany w jeansy, czarną bluzę z ptakiem Dodo na piersi, wszedł do bufetu dla pracowników. Wziął tacę, ozdobioną wizerunkami zwierząt i stanął na końcu krótkiej kolejki. Dwie osoby przed nim stał Stefan, z którym postanowił porozmawiać o incydencie z tygrysami. Na osobności oczywiście, bo nie miał zamiaru robić afery. Gdy przyszła jego kolej, sięgnął po krem z pomidorów i zestaw surówek. Nie był przeciwnikiem jedzenia mięsa, ale kiedyś po prostu przestał je jeść i tak mu już zostało.

Z tacą w ręku rozejrzał się po sali w poszukiwaniu odosobnionego miejsca. Nie miał ochoty na jakąkolwiek rozmowę, ale tego dnia los mu nie sprzyjał.

— Panie Michałku, zapraszam — nawoływał dyrektor, machając kapeluszem.

Dziesięć metrów pokonał krokiem skazańca, odłożył tacę na stół i usiadł na plastikowym krześle.

— Smacznego — rzucił w stronę dyrektora, nabrał łyżką odrobinę zupy i zamoczył w niej usta.

— No i co pan sądzi? — zapytał dyrektor.

— Bardzo smaczna — odpowiedział, szybko nabierając kolejną łyżkę pomidorowego kremu.

— Kochanieńki, o tygrysie, o tygrysie, co pan uważa?

— Ciekawy pomysł, ale mało realny.

— Nie doceniasz pan szefuńcia.

Dyrektor pokręcił głową z dezaprobatą i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po chwili wymachiwał mu przed oczami pomiętą kartkę. W końcu podał ją Dudkowi.

— Czytaj pan.

Dudziński przerwał posiłek i z miną, jakby pożarł cytrynę, wygładził na stole dokument. Z pisma, które przysłał Główny Inspektorat Weterynarii, wynikało, że zoo musi dostosować wybieg dla tygrysa sumatrzeńskiego zgodnie z wymienionymi pod spodem warunkami. Oddał dokument dyrektorowi i spojrzał mu prosto w oczy.

— Pusty wybieg nie przyciągnie odwiedzających — rzucił znad talerza i powrócił do spożywania obiadu.

Dyrektor nachylił się w jego kierunku i gestem poprosił go, żeby zrobił to samo.

Rozejrzał się po sali, po czym wyszeptał:

— Dostałem ofertę z Sumatry. — Jeszcze raz spojrzał na siedzących obok i dodał. —

Tylko nikomu ani słowa panie Michałku. Cicho sza, tajemnica.

Dudziński odłożył łyżkę i wytarł usta serwetką. Nie chciał urazić swojego szefa, ale miał już dosyć tej sprawy z tygrysem.

— Oferta z Indonezji? Mogę panu przynieść co najmniej cztery międzynarodowe alerty, które przestrzegają przed zakupem zwierząt z nieznanymi źródłami, zwłaszcza z Indonezji.

— Wiem, wszyściutko wiem. Nie urwałem się przecież z choineczki. — Dyrektor starał się go uspokoić. — Tyle, że to oferta darowizny, a nie zakupu. I co ty na to, kochanieńki?

— Chcę ją zobaczyć — odpowiedział stanowczo.

— Wkrótce panie Michałku, na razie rozmowy były, przez telefonik, ale lada dzień przyjdzie pisemko.

— To może poczekajmy na oficjalne dokumenty, a teraz porozmawiajmy o ważniejszych problemach, na przykład o braku szkoleń nowych pracowników — zaproponował, odstawiając talerz na bok.

Ta rozmowa odebrała mu cały apetyt.

Dzień 10

Przez ostatni tydzień na ogród spadły hektolitry wody. Poziom wody w Odrze podnosił się gwałtownie, wzbudzając niepokój pracowników zoo, którzy pamiętali jeszcze wielką powódź z 1997 roku, obronę wałów i ewakuację zwierząt. Być może nawet one pamiętały te czasy, bo kryły się w swoich domkach. W efekcie po błotnistych alejkach spacerowała garstka ludzi. Pomimo niesprzyjającej aury Dudek nie odpuszczał treningów, do momentu aż poślizgnął się i naciągnął ścięgno Achillesa. Od dwóch dni nie rozstawał się z tabletkami przeciwbólowymi, pocieszenie znajdując w tym, że sprawa tygrysa zniknęła z wokandy.

Po śniadaniu zajął się wysyłką sprawozdania Fundacji, którą skompletował z księgową. Właśnie zaklejał grubą kopertę, gdy w kieszeni zawibrował iPhone. Wyjął go, a gdy na wyświetlaczu zidentyfikował twarz weterynarza, puścił rozmowę przez głośnik.

— Co tam Macieju? — zapytał, naklejając znaczki.

— Słuchaj Dudek mam tu kapibarę, tę twoją Zośkę.

— Co z nią?

— Kiepsko, dlatego dzwonię.

— Dzięki, zaraz będę — rzucił do mikrofonu i po chwili pokuśtykał w kierunku gabinetu weterynaryjnego.

Wytarł o wycieraczkę błoto z butów i wszedł do środka. Zośka leżała bokiem na wielkim stole, wykonanym ze stali nierdzewnej. Weterynarz poprawiał niebieskie lateksowe rękawiczki na dłoniach, chwycił tylną nogę zwierzęcia i uniósł do góry. Z rany sączyła się lepiała maź.

— Musiała to złapać już jakiś czasu temu, bo zakażenie się rozprzestrzeniło — powiedział, wodząc palcem po podbrzuszu. — Stary powiedział, że czas na nią. Mam ją uśpić.

Dudziński podszedł do kapibary i pogłaskał ją po głowie.

— Nie ma mowy — powiedział, akcentując każde słowo. — W końcu mam tu też coś do powiedzenia. Tak, czy nie?

— A co ty taki nerwowy? — zapytał oburzony weterynarz i spojrzał na kapibarę — Mam znajomego weta w Dreźnie, specjalizującego się w tropikach. Będzie drogo, ale może się udać.

— Zapłacę za jej leczenie ze środków Fundacji. A dyrektora biorę na siebie. Przepraszam stary, ale trochę mnie ostatnio nosi.

— Przysługa za przysługę. — Maciej zdjął rękawiczki, wyrzucił do kosza na odpady medyczne i podszedł do biurka. Zaczął przeszukiwać dokumenty. — Podobno znasz indonezyjski.

Michał Dudziński zamienił się w słup soli.

— Skąd ten pomysł? — wykrztusił z siebie.

— Podobno dorobiłeś się fortuny na handlu z Azjatami, to pomyślałem, że może znasz język z Sumatry — oświadczył znad biurka.

— To bzdura wyssana z palca. — Dudek miał wrażenie, że temperatura w gabinecie podniosła się o dziesięć stopni.

— Mam! — krzyknął Maciej, podszedł do niego z wydrukiem z komputera. — Żeby było jasne, nie wtykam nosa w cudze sprawy. Szanuję cię za determinację z jaką ratujesz zwierzęta i to nie tylko te zagrożone. — Spojrzał na kapibarę. — Ale jeżeli znasz indonezyjski, to może wyświadczysz koledze przysługę?

— Znam — przyznał i sięgnął po wydruk. — Tylko mi nie mów, że wrócił temat tygrysa.

Od piętnastu minut krążył alejkami, nie zważając na kałuże, błoto, na wodę chlupiącą w butach i na ból łydki.

— Kurwa, kurwa, kurwa! — cedził przekleństwa przez zęby, zaciskając pięści tak mocno, że aż zbiełały mu kłykcie.

— Wszystko w porządku panie Michale?

Dopiero teraz dostrzegł, że zawędrował do wybiegu dla tygrysów, sprzed którego przyglądał mu się Stefan. Podszedł do niego, chwycił za klapy śliskiego płaszcza przeciwdeszczowego i przyciągnął twarz do swojej.

— Jak nie chcesz wylecieć, to zajmij się szkoleniem swojego gówniarza!

— Co pan! — Stefan wyrwał się z jego uchwytu.

Dudek zorientował się, że przesadził. Bąknął pod nosem „przepraszam” i oddalił się, pozostawiając opiekuna tygrysów w szoku. Zignorował ból nogi i przyspieszył kroku. Minął słoniarnię i sztuczne jezioro, w którym brodziły flamingi. Nie mógł przestać myśleć o nadawcy pisma, które Maciej dał mu do tłumaczenia. Wszystko się komplikowało. W nazwie Luwak Ltd nie było nic szczególnego, a jednak przywoływała obrazy, o których wolałby zapomnieć.

Gdzieś za plecami rozległy się głosy zaniepokojonych gibbonów. Michał Dudziński dotarł w rejon ogrodu, który był dla niego białą plamą. W strugach deszczu odczytał napis z tabliczki: „łaskun palmowy”. Szybko odwrócił się plecami do klatki i ruszył do domu. Nie mógł tu zostać ani sekundy dłużej.

Dzień 11

Gabinet dyrektora wyglądał, jak obozowisko rozbite pośrodku tropikalnej dżungli. Rośliny wypełniały każdą wolną przestrzeń, pięły się po ścianach i suficie. Gdyby pozwolić im swobodnie rosnąć, dotarcie do biurka dyrektora wymagałoby użycia maczety. W wolierze dokazywały papużki faliste i kanarki. Brakowało jedynie anakondy, snującej się po podłodze.

Na jego widok dyrektor poderwał się z krzesła, ominął ciężki hebanowe biurko i gestem wskazał dwa ratanowe fotele przy stoliku. Meble i wyposażenie pomieszczenia nasuwało skojarzenie z wnętrzem sklepu kolonialnego.

— Jak noga? — rozpoczął rozmowę.

— Będziemy rozmawiać o moim zdrowiu? — odburknął.

— Coś ostatnio jest pan jakiś taki nieswój. Ludzie się skarżą.

— Pewnie Stefan — stwierdził Dudek. — A właśnie! Przyłapałem jego podopiecznego, jak znęcał się nad tygrysami. Oficjalnie żądam, żeby wyrzucił go pan z pracy.

— Oczywiście, zajmę się tym — odpowiedział wyraźnie zasmucony.

— Mam nadzieję

— Mam prośbę, Kochanieńki. — Dyrektor podrapał się za uchem. — Chodzi o tego tygrysa, bo widzi p...

— Panie dyrektorze — przerwał mu w połowie zdania. — Zapoznałem się z tą indonezyjską ofertą i certyfikatem z Parku Narodowego Kerinci Selblat na Sumatrze. O ile to oryginały, to wszystko wygląda w porządku, ale...

— A nie mówiłem — wtrącił dyrektor.

— ...mam nadzieję, że jest pan świadomy, że firmy z Sumatry to w zdecydowanej większości firmy przemysłowe? To duże ryzyko dla wrocławskiego zoo i Fundacji.

— No tak, ale to za darmo, a poza tym posiada pan koneksje, znajomości, kontakty z organizacjami międzynarodowymi. Kochanieńki, ty najlepiej wiesz, jak sprawdzić firmę Łaskun, nie, cholibka niech mi pan przypomni jej nazwę, mam ją na końcu języka.

— Luwak Limited.

— Tak! Luwak. Oczywiście, że Luwak. Pamiętałem, bo przecież pan zbił fortunę na Kopi Luwak.

— To nie ma ze sobą nic wspólnego — zaprotestował zbyt gwałtownie Dudek, więc po chwili dodał pojednawczym tonem. — Mam dobrego znajomego w WildCats Conservation Alliance. Poproszę go, żeby prześwietlił tę firmę.

Dzień 14

Zgodnie z daną obietnicą, 3 dni temu wysłał prośbę o weryfikację firmy Luwak Limited do WCCA. Celowo nie oznaczył jej jako priorytet, bo miał nadzieję znaleźć sposób na powstrzymanie dyrektora od realizacji niefortunnego pomysłu. Dekadę temu poznał podstępne metody działania handlarzy z Sumatry. Jeżeli przecucie go nie myliło, to WildCat potwierdzi oryginalność certyfikatu, ale po pół roku okaże się, że dokument został wystawiony przez skorumpowanego urzędnika parku narodowego. Wtedy bomba z opóźnionym zapłonem zdewastuje reputację zoo i Fundacji.

Niestety nie docenił determinacji dyrektora.

W porannej poczcie otrzymał email z informacją od Macieja, że GIW wydała pozytywną opinię na temat wybiegu dla tygrysa sumatrzańskiego. Wykonano go ściśle według instrukcji firmy Luwak. Po dostawie klatka transportowa ze zwierzęciem miała zostać ustawiona na wybiegu i pozostać na nim, aż tygrys się oswoi z nowym miejscem. Zamontowano też automatyczną śluzę, sterowaną zegarem, która oddzielała wybieg, od części mieszkalnej. Załączony dokument nie pozostawiał żadnych wątpliwości, zoo szykowało się na jego przyjęcie. Kiedy wpatrywał się w ekran, przyszedł email z sekretariatu. Odstawił kawę na blat biurka i otworzył wiadomość. Z każdym czytaniem zdaniem rosła jego irytacja. Z treści wynikało, że tygrys otrzymał zgodę wywozową indonezyjskiego urzędu celnego, w piątek dotrze na lotnisko w Warszawie, gdzie przejdzie kontrolę weterynaryjną, a w sobotę zostanie dostarczony do Wrocławia. Kolejny akapit odnosił się do niego. Otrzymał polecenie odebrania z lotniska we Wrocławiu przedstawiciela

firmy Luwak Ltd, który w niedzielę oficjalnie przekaże tygrysa sumatrzeńskiego wrocławskiemu zoo.

Zaproszonym gościem był Joko Suharto.

Dudziński odruchowo odepchnął się od blatu, jakby ekran miał za chwilę eksplodować. Po minucie podjechał fotelem do biurka i upewnił się, że dobrze odczytał nazwisko. Palce lewej dłoni rytmicznie uderzały paznokciami o blat. Cztery uderzenia, pauza, cztery uderzenia, pauza. W końcu zawisły w bezruchu nad laminatem. Otworzył wiadomość do WildCat z prośbą o weryfikację firmy Luwak, przekopiował jej treść i wysłał do TRAFFIC, uzupełniając o nazwisko przedstawiciela firmy. Tym razem nadał jej najwyższy priorytet.

Widok za oknem przestał przypominać rozmazaną akwarelę. Dudek wykorzystał fakt, że przestało padać i opuścił biuro. Na dworze zarzucił kaptur bluzy na czapkę i ruszył w kierunku miejsca, którego unikał przez 10 lat. Pod parasolem kawiarni Dodo dostrzegł palącego Macieja. Podszedł do niego i poprosił o papierosa.

— Nie wiedziałem, że palisz — powiedział, potrząsając paczką, aż pojawił się w niej żółty filtr.

— Bo nie palę — odpowiedział Dudek, sięgając po papierosa.

Wsadził go do ust i pozwolił weterynarzowi podać ogień. Po pierwszym zaciągnięciu dymem, zakręciło mu się w głowie.

— Co z Zośką?

— Za tydzień będzie śmigać po wybiegu jak nowonarodzona.

— Dzięki.

— Grunt, że staruszek się nie zorientował — powiedział weterynarz, wypuszczając chmurę dymu pod czaszę parasola. — W sumie jak się tak zastanowić, to tygrys uratował nam dupę. W sobotę pełna mobilizacja, co?

— Na to wygląda. — odrzekł Dudziński i pożegnał się.

Po niespełna 5 minutach stanął na wprost klatki z łaskunami palmowymi. Zrzucił kaptur i zdjął czapkę, żeby zwierzęta widziały jego twarz. Przez 10 długich lat udawał, że ich tu nie ma. Teraz zapragnął to zmienić. Nieruchoma ludzka postać intrygowała łaskuny, bardziej znane jako cywety. Powoli przełamywały nieufność i podchodziły bliżej siatki, która odgradzała ich od człowieka. Dobrze znał te małe ssaki, wyglądem przypominające koty z psim pyszczkiem. W naturze kryły się w koronach drzew, ale ten fakt Dudek znał tylko z literatury. On widział je na Sumatrze stłoczone w klatkach, z brzuchami napelnionymi karmą z owocami kawy, którą miały za zadanie pozbawić mięszu i wydalić. Zwierzęce maszynki do kawy żyły wyłącznie po to, by próżny człowiek mógł się rozkoszować smakiem Kopi Luwak.

Dzień 28

Sobota, 28 marca 2015

Niebo nad Wrocławiem spowiły ciężkie granatowe chmury. Dudek od godziny czekał na samolot z Warszawy, którym miał przylecieć honorowy gość. Nie miał żadnych złudzeń, że Joko Suharto wybrał wrocławskie zoo ze względu na niego. Nie krył, że razem studiowali zootechnikę na Uniwersytecie Przyrodniczym. Nie wspomniał tylko dyrektorowi o tym, że później razem prowadzili interesy.

Przeszłość wróciła z mocą tsunami, a on postanowił stawić jej czoła.

Zaproponował swojemu szefowi, że całkowicie przejmie sprawy związane z obsługą tygrysa i gościa, dyrektorowi pozostawiając sprawy medialne. Ten z ogromną ulgą przyjął fakt, że Dudziński przestał oponować i w końcu stanął po jego stronie. Dudek postawił tylko warunek, że na uroczystości dyrektor podkreśli udział Fundacji w ściągnięciu tygrysa do zoo. On natomiast zadba o graficzną oprawę, banery z logo fundacji, balony, czapki, a dla znamienitszych gości cenne zegarki z ptakiem dodo na cyferblacie. W końcu chodzi przecież o zdobycie dotacji i darowizn na ratowanie kolejnych zwierząt. Dyrektor zgodził się bez mrugnięcia okiem. Jedynym jego zmartwieniem była pogoda.

Od wschodu nadchodziła burza, nie padało, ale skłębione chmury coraz częściej rozświetlały błyskawice. Samolot wylądował z niewielkim opóźnieniem. Z niewielkiej ilości pasażerów natychmiast wyłowił Suharto. Niski kruczowłosy mężczyzna w garniturze i błękitnej koszuli, rozpiętej pod szyją i skórzanym plecakiem na ramieniu sprawiał wrażenie pewnego siebie biznesmena. Wyspiarska uroda, hebanowa karnacja skóry, nieco skośne oczy i białe zęby, potęgowały to odczucie.

— Minęło dziesięć lat, po co przyleciałeś Joko?

— A gdzie ta słynna polska gościnność, panie prezesie? — odpowiedział pytaniem Suharto. — Napiłbym się kawy.

Wybrali stolik w kącie lotniskowego baru. Kelnerka szybko podała filiżankę arabiki. Joko upił trochę kawy i powiedział:

— Dobra, ale nie tak jak Kopi Luwak.

— Po wizycie na twojej farmie, zmieniłem zdanie.

— Niepotrzebnie. To świetna kawa i nadal sprzedaje się po tysiąc dolarów z kilogram.

— Posłuchaj, od dawna nie zajmuję się handlem i...

— Odrobiłem lekcje — przerwał mu. — Założyłeś fundację, która chroni ginące gatunki. Jestem pod wrażeniem. I chyba nie tylko ja doceniam twoje zaangażowanie, bo przedstawiciele różnych ważnych instytucji wyrażają się o niej w samych superlatywach. Tak sobie zadaję pytanie, czy wiedzą, czym zajmował się jej prezes, zanim został szanowanym obrońcą zwierząt, co?

— Próbujesz mnie szantażować? — zapytał Dudek, choć było to oczywiste.

— Potraktuj to jak szansę spłaty długu — oświadczył i natychmiast spoważniał. — Mieliśmy umowę, a ty ją zerwałeś. Twoje zniknięcie sporo mnie kosztowało. Ale jaki byłby ze mnie przyjaciel, gdybym cię nie odnalazł i nie dał szansy naprawy?

— Wiesz dobrze, dlaczego nie odebrałem kontenera z portu.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim załadowaliśmy go na statek w Dżakarcie, przyjacielu. — Jako poklepał go policzku. — Ale nie martw się mam plan.

— Ten tygrys to ściema — wypalił Dudziński.

— W tym przypadku opakowanie jest cenniejsze od zawartości.

Dudek przypomniał sobie instrukcję modernizacji wybiegu. Wśród wielu dokumentów był też rysunek klatki transportowej, w której tygrys miał odbyć swój długi lot. Przypomniał sobie jej grubą podłogę, zbyt grubą.

— Podwójna podłoga.

— Warta 20 milionów dolarów — dokończył Jako.

— Przecież psy na lotnisku...

Nie dokończył zdania. Żaden pies nie zbliżył się do tygrysa, a już tym bardziej nie będzie w stanie wykonywać swoich obowiązków. Służba celna nie użyje Röntgena, żeby narazić na bezpłodność jednego z ostatnich samców ginącego gatunku. Sprytne. Dudziński

sprawił wrażenie, że poważnie rozważa propozycję Joko. Wiercił się na krześle i co chwila drapał z tyłu głowy. W końcu przytaknął głową.

— Jeżeli to kończy sprawę między nami, to zgadzam się.

Suharto uśmiechnął się.

— A teraz opowiedz o przebiegu jutrzejszego dnia, żebym zdążył odebrać swoją własność.

— Impreza zaczyna się o 12. Tygrys będzie w części mieszkalnej wybiegu. Jutro rano punktualnie o godzinie 9 system automatycznie otworzy bramę i tygrys zostanie wypuszczony na wybieg, gdzie postawiliśmy twoją klatkę. Normalnie opiekunowie zwierząt porządkują wybiegi od 8 do 9, ale z racji imprezy sprzątanie odbędzie się dzisiaj wieczorem. Zresztą w tym czasie odbędzie się odprawa z opiekunami, więc od 8 nikt nie będzie ci przeszkadzał.

— Pół godziny od 8, tak? — upewniał się Joko.

— Dokładnie. Na wybieg wejdiesz przez bramkę techniczną. Będzie otwarta.

Zadbam też o awarię monitoringu. Zrobię to, a ty po wszystkim zapomnisz o moim istnieniu.

— Będzie tak, jak mówisz.

— Fundacja musi pozostać bez skazy, dlatego na imprezie podkreślisz jej udział w pozyskaniu tygrysa. Takie wydarzenie to we Wrocławiu niezła gratka dla mediów, a to dla Fundacji okazja do darmowej reklamy. Przygotowałem ci firmową koszulkę i czapkę. I jeszcze to. — położył zegarek z logo Fundacji na blacie i przesunął go w kierunku Joko. — Najlepiej załóż teraz, bo później zapomnisz.

— Chodzi?

— Osobiście go nakręciłem — oświadczył i podsunął mu pod oczy lewy nadgarstek.

— Sam używam identycznego.

Joko Suharto zdjął swój smartwatch i spełnił prośbę Dudka.

— Znowu jesteśmy współnikami — skwitował, porównując zegarki.

Dzień 30

Dudek wziął do ręki dzisiejsze wydanie Gazety Wrocławskiej. Połowę pierwszej strony zajmował artykuł na temat niedzielnych wydarzeń w zoo.

„Wypadek w zoo: Tygrys zagryzł przemytnika narkotyków.

W niedzielę tuż przed oficjalną ceremonią przekazania wrocławskiemu zoo tygrysa sumatrańskiego, doszło do zagadkowego wypadku. Zagrożony wyginięciem tygrys zabił 40-letniego mężczyznę narodowości indonezyjskiej, który bez nadzoru wtargnął na teren wybiegu. Mężczyzna oficjalnie występował jako opiekun zwierzęcia z Sumatry.

Jak ustalili dziennikarze Gazety Wrocławskiej, pawilon dla tygrysów jest zaopatrzony w specjalną, automatycznie zamykaną śluzę. W nocy z soboty na niedzielę system automatycznie przestawił się z czasu zimowego na letni i zgodnie z harmonogramem otworzył śluzę o godzinie 9 czasu letniego (8 czasu zimowego). Według prokuratury mężczyzna najprawdopodobniej sądził, że tygrys zostanie wypuszczony godzinę później. Wskazuje na to znaleziony przy denacie zegarek, który wciąż wskazywał czas zimowy.

W toku oględzin miejsca wypadku, w podłodze klatki transportowej policyjni technicy odkryli i zabezpieczyli dwieście kilogramów kokainy o wartości rynkowej ponad 20 milionów dolarów. Mężczyzna działał w pojedynkę, co potwierdzają nagrania z kamer monitoringu. Wszystko wskazuje na to, że mężczyzna brał bezpośredni udział w przemyśle narkotyków”

Michał Dudziński odłożył gazetę, uniósł lewy nadgarstek i za pomocą pokrętki przestawił wskazówki o godzinę do przodu.